

ORĘDOWNIK

NAUKOWY.

Spis rzeczy 32. Numeru: *Wyjątki z współczesnego rękopismu podróży królewicza Władysława.* — *Krytyka: Karpaccy Górale, p. Borejkę.* — *Prelekcye Mickiewicza.* — *Korres.: List M. Furleja.* — *Nowiny lit.*

Wyjątki z współczesnego rękopismu podróży królewicza Władysława.

Dnia 4go Kwietnia 1625. Obawiając się Królewicz JMci, żeby go w Padwie i Wenecyi także publice nie przyjmowano — jakoż gotowano się na to pilno — zniósłszy się z nami, rezolwował się, uchodząc tych ceremonii, pocztą bieżącą do Wenecyi; jedno, że i tak trudno ich było oszukać, bo sobie potestatowie o każdym ruszeniu się królewiczowem dawali znać. Zażyłem ja takiego sposobu: powiedziałem potestatowi, że mię Królewicz JMci z drugim kawalerem posyłał wprzód do Wenecyi, i prosiłem, aby mi pozwolił wziąć pocztę na trzy osoby, to jest: na mnie, towarzysza mego, sługę trzeciego, a czwartą na pocztyliona. Skorom to otrzymał, wsiadłszy na onę pocztę, tak, że potestat widział osoby, które wsiadały, biegłem wprzód. Królewicza JMci potestat na swój karacie wyprowadził miłą za miasto, potem się wrócił, a Królewicz na swe wozy wsiadłszy,

jechał. Co skorom ja postrzegł — bom rzkomo dla złej bardzo drogi nie pospieszał — kazawszy panu Denhofowi z pocztylionem jechać dalej, sam z czeladnikiem rzkomo około konia nieco poprawując, zostałem, aż Królewicz nadjechał, a kazawszy czeladnikowi na karetę wsieść, wsadziłem Królewicza na jego konia, i tak nie tylko potestat nie wiedział, że Królewicz pocztą biegł, ale ani sam pocztylion. Kiedyśmy byli mil 10 od Padwy, potkaliśmy kapitana padewskiego, a on w kilkunastu karoc wyjechał był przeciwko nam, i domyśliwszy się, żeśmy ludzie królewiczowi, pytał, dalekobyśmy Królewicza odjechali. Odpowiedział mu samże Królewicz, że jeszcze w Wiczący, i że się go nie trzeba spodziewać było tak rychło dla złej drogi — jakoż prawdziwie była tak zła, jaką jako żywo gorszą nie jeździł. Powiedział kapitan, że przeciwko niemu jedzie, a że dla nas w pierwszej austeryi jeść było gotowo, prosząc, abyśmy tam wstąpili i mieli się dobrze. Podziękowawszy, obiecaliśmy tak uczynić, aleśmy nic nie stojąc, pędzili, ile mogło być w tak złej drodze do Padwy, gdzieśmy na godzinę przed południem

przybiegli. Zastaliśmy, a ono się szlachta żołnierze szykują na przyjęcie Królewicza. Zaczem ja radziłem, żeby było zaraz prosto przed miasto do poczty drugiej jechać, — bo w Padwie poczta za miastem — i tam konie odmińszy, biedz co w skok do Wenecyi, spodziewając się tego, co się przydało, żeśmy się nie długo utaić mieli. Ale Królewicz JMci inaczej rozumiejąc, a chcąc sobie po onym niewczasye — bo się całe cztery godziny cwałowało i w błocie aż po uszy było — trochę wytechnąć i zjeść co, wstąpił do gospody do pana wojewody połockiego, a po konie do poczty kazał posłać. Interim nim tu jeść nagotowano, nim do poczty po konie zbieżano, potestat padewski ostrzeżony już od onego kapitana, cośmy go w drodze pominęli o Królewiczu, zakazał, żeby ani poczty, ani inszych koni, ani karoc, ani barek żadnemu, ktoby chciał z Padwy do Wenecyi jechać, bez jego pozwolenia nie dawano. Przyjdzie z tem do mnie ten, com go po konie posyłał. Jedno cośmy usiedli do stołu jeść, pomieszał mi bardzo apetyt, ale nie mniej Królewiczowi. Szedłem tedy zaraz do gubernatora, wziąwszy z sobą szwagra swego, pana Stanisława Rudomię i kilku sług pana wojewody połockiego i pana starosty orszańskiego. Gdym do pałacu wchodził, wszyscy rozumieli, że ja był Królewicz incognito i tak udali potestatowi, który zaraz wypadł przeciwko mnie, i pierwsze słowo, które mi rzekł, było: „vostra alteza!“ kłaniając mi się nisko, i prosząc mię, żebym się nie taił, a honor, który rzplta czynić mi chciała, żebym przyjął. Powiedziałem, że dalby to Pan Bóg, abym ja był della alteza, a pewnieby to u mnie pan potestat łącno uprosił, o co prosił; alem ja nie był tylko della nobilita, a pan, któremu służę, jest della alteza, i tenże mię posłał wprzód z drugim moim towarzyszem do Wenecyi, z którym ja tu na poczcie przybiegł, a dalej dać mi jej nie chcą, wymawiając się zakazem WM.; i prosiłem, aby mi omieszkania czynić nie kazał w posłudze pana mego, gdyżby się to niezga-

działo z tą chęcią, z którą się oni przeciwko tak wielkiemu gościowi ofiarują i gotują.

Wtem potestatowi poszepnie ktoś, że ja nie był Królewicz, ale ten drugi młody, — co zemną przyszedł, — ukazując na pana Rudomię. Znowu się do niego stary — bo już miał z 80 lat ten potestat z domu Kapelli — rzucił z ceremoniami, z rewerencyą, o toż go prosząc, o co i mnie zrazu, powiedziałem, że go źle ci, co około niego stali, informowali, i na słowo kawalerskie upewniłem go w tem, że żaden z nas nie był Królewiczem. Toż mi dopiero uwierzył — jednak powiedział z żalem niemałym, że ma tę wiadomość, że Królewicz JMci pominąć chciał Padew, niechcąc przyjąć od nich obsequium, z którym go czekali, nieszczęściu to swemu przypisując. O konie powiedział, że się to mimo wiadomość i zakaz jego działo — ale to była nieprawda — i zaraz posłał, aby tak wiele dano, ile potrzeba, za co, gdym mu ja podziękowawszy, odchodzić chciał, prosił mię, abym chciał widzieć pokoje, które dla Królewicza zgotowane były, i prowadził mię przez wszystkie, w których potem książę pan kanclerz z drugą naszą kompanią stał. A my dopadłszy koni, bieglismy do Wenecyi. W pół drogi mój koń, com na nim jechał, zmordowany, tak się rozparł podemną, żeśmy go na drodze, siodło tylko i uzdę zdjawszy, zostawić musieli, a pocztylion ułapił konia chłopca jakiegoś z tamtych domów, co nad Brentą; dopiero znowu między pocztylionem, a onym chłopem, komedyi było dostatek o konia; tandemeśmy go ubłagali, że go nam pożyczyl. Wsiadłszy na świeżego konia, uprzedziłem ja Królewicza do Lucef, gdzie pocztę, albo barkę najął, w którą wsiadłszy, przyjechaliśmy do Wenecyi, i prostośmy zsiadli do pałacu Grymanijego, na wielkim kanale, który dla Królewicza był zgotowany, tak, że o nas nie wiedziano. Interim w Wenecyi galery, barki, gondole wybierały się wyjeżdżać przeciwko Królewiczowi, ale darmo, bośmy już byli w mieście. Przyjął nas w pałacu

Sign. Giovanni Tiepolo, kommissarz do usłużeńia Królewczowi od Rzpłtėj naznaczony.

5go. Z rozkazania Królewicza JMci chodzilem do księcia weneckiego, nawiedzając go i dziękując za tę ludzkość, która w państwie weneckim pokazana nam była, obmawiając przytem Królewicza JMści, że i w Padwie i Wenecyi honorów tych, na które się byli nagotowali, przyjąć nie mógł, prosząc, aby przez ten krótki czas pomieszkania w Wenecyi, mógł zażyć libertatem, nieprzywiązując się do żadnych ceremonii. Wdzięcznie ksiązę nawiedzenie od Królewicza przyjął, i obiecał się konformować do woli jego. Książęciem był natenczas w Wenecyi jeden z domu Kornarów, człowiek już w leciech, ale jeszcze dosyć czerstwy, roztropny bardzo i wymowny. Gdy się od ksiązęcia wrócił, Królewicz JMśc przedtem, aniżeli by się ogłosił przyjazd jego do Wenecyi, chciał widzieć niektóre miejsca jedno ze mną, z panem Kazanowskim, a z trzecim szlachcicem weneckim, nazwanym Malipijery. Wsiadłszy w gondulę, jechał do kościoła świętego Marka, ale jednośmy z gonduli wysiedli w rynek między dwoma kolumnami, zaraz ludzie poczęli się snuć ku nam, niedoszliśmy do kościoła, a już ich było pełno i przed nami i za nami, przypatrując się nam; i domysłając się, że jeden między nami był Królewicz, dla tegoż musieliśmy znowu na gondulę wsieść i uciec przed tym gminem. Po obiedzie ksiązę JMśc, pan kanclerz z drugą kompanią przyjechał, i powiedział nam, jako testament padewski był frasowliwy, że go królewicz pomiął. Jechał potem Królewicz JMśc do kupca jednego w dom, gdzie rzeczy bardzo siła rozmaitych i kosztownych widział, między inszemi dyament jeden, który on sobie cenil na sto tysięcy złotych naszych.

6go. Dwaj przedni senatorowie weneccy, jeden był syn ksiązęcy Kornary, a drugi Kontareni, nawiedzali Królewicza, ale kiedy z nim mówili, stał zaraz nad nim sekretarz rzpltej, przysłuchiwując się onym rozmowom. Tak tam

są ostrożni, gdy z ludźmi wielkimi, którym się zdarza być w Wenecyi, traktują! — i nie może żaden z senatu ani z szlachty przedniej z żadnym cudzoziemcem bez pozwolenia mówić, ani się widzieć.

7., 8., 9go. Strawił Królewicz JMśc na widzeniu miasta i miejsc co zacniejszych.

10go. Chcąc się Królewicz JMci przypatrzeć radzie weneckiej, był na pałacu ksiązęcym nieznamomie; prowadzili go jednak oniz dwaj senatorowie, syn ksiązęcia samego Kornary, a drugi kawaler Kontaryni, obaj di larga manica, którą tam jedno przedni ludzie noszą. Całe poobiedzie Królewicz strawił w tem consilium.

11go. Znowu Królewicz JMci był na pałacu ksiązęcym i widział armamentarium, co ją Wenetowie zowią camera di diecie, tamże się z ksiązęciem widział i witał. Ksiązę mu honor wszelaki czynił, kiedy szedł i siedział, dawał mu prawą rękę. Było przy ksiązęciu do dziesiątka senatorów przedniejszych, a tak głośno z Królewiczem mówił, że go na wszystką izbę słyszeć było, dla suspicyi, a sekretarz tuż stał, słuchając, co mówił. Szedł potem Królewicz z onemi dwiema sobie przystawami widzieć skarby rzpltej. Po obiedzie ksiązę wenecki chciał nawiedzić w gospodzie Królewicza, ale mu tego Królewicz żadnym sposobem pozwolić nie chciał, iżby to musiał być actus publicus bardzo, i ledwo się dał od tego ksiązę odwieść.

12go. W pałacu Kornarów na kanale wielkim fest i taniec zacny się odprawował, na którym było sto i trzydzieści co przedniejszych szlachcianek weneckich. Tamże kolację od różnych cukrów, konfektów, kosztowną bardzo, dla nas i dla pań zgotowano było, którą na kilka tysięcy szacowano. Sobie jednak i dobrze przed wieczorem rozeszliśmy się.

13go. Kramy wszystkie, co ich jedno jest w Wenecyi kupieckie w bieli przybrane były. Jest to zwyczaj tamtego miasta, kiedy człowiek wielki przyjedzie, między inszemi festami i ten czynić. Cokolwiek materyi białych kupcy mają

w kramach, temi kramy objijają, a drugie wywieszają, rzecz piękna i rzadka do widzenia. Na początku Marceryi — zowią to Wenetowie drogę od Ryjaltu aż do świętego Marka — wystawiony był obraz Króla JMci, a z obu stron drogi téj, ta się białość prowadziła; także i wszyscy rzemieślnicy, cokolwiek jedno mieli między towarem i rzemiosłem swoim białego, aptekarze woski śliczne białe jarzące, cukry i t. p. kupcy materye jedwabne, drudzy płótna, a nawet i szewcy trzewiki, treпки białe przed kram wystawowali et per consequens drudzy. Była tak sroga ciżba w Marceryi, że się ludzie dusili, i snąc białogłową jedną czyli dwie udusili.

16go. Po obiedzie certamen navale, które Wenetowie zowią la regata odprawowała się tym sposobem: proponują proemia, a gondule i barki w zawody puszczają niemal na milę polską. Naprzód idą bareczki małe o jedném wiosle, potem o dwu wiosłach, o trzech, o szóstym, ośmiu i o dwónastu, młodź zaś wenecka, co możniejsi, każdy na swój peocie — a jest to barka jedna niemal o 12 wiosłach — przejeżdżają się przez ono miejsce, którędy ci, co się wyścigają, przejeżdżać mają, rząd czyniąc. Było teraz takich peot szlacheckich 20, każdy swoją, jako najpiękniej mógł, ustroił, i barwę na tych, co robili, jeden na drugiego się przesadzając, dał. Było niemal złotem, srebrem haftowanych, co każdego pana onęj peoty — a dwaj się ich pospolicie na jedną składało — siła kosztować musiało. Sami téż nie w togach weneckich, w których ordinarie siedzą, ale w szaciech jako najszumniejszych przybrani byli. Powiadają, że jakoż Król Henryk III. francuski i polski, gdy z Polski uchodząc, był w Wenecyi, gwoli żadnemu panu potem, co tam przejazdem bywali, tak zaczęj regaty, jako teraz gwoli Królewiczowi niesprawowali. Przed palacem Królewiczowym zbudowano było z tarcie, naksztalt wieżyczki jakiej miasto kresu, która wieżyczka, gdy oni zawodnicy przybiegali, otwierała się, tak, że w same wrota barki wpadały, i zaraz

wychodzili dwaj, naksztalt satyrów ubrani, i proemia tym, którzy pierwszymi i wtórymi byli, dawali, pieniędzmi gotowemi po kilkunastu sztuków, jako który, więcej albo mniej według wielkości albo małości barek sobie zarobił, tak, że i białogłowy w to certamen wchodziły, także jako i chłopci między sobą na barkach wyścigając się i upominki wygrane biorąc.

Gdy się one zawody skończyły, wszystkie one peoty szlacheckie zgromadziły się pod kamienicę Królewiczową, prosząc Królewicza JMci, aby im ten honor uczynił, a chciał wsiść na którą i przejeżdżić się w niej po onym kursie kanału wielkiego, na którym się zawody odprawowały, i uczynił to chętnie Królewicz, wsiadł na peotę Pryjulego, syna nieboszczyka księcia weneckiego, która najszumniejsza była, a nas drudzy rozebrali byli na swoje peoty, i takeśmy kilka razy przez on kurs przemknęli. Skoro się zmierzchno, przyprowadzono przed pałac Królewiczów kasztel, z ogniów przyprawnych uczyniony, który gdy potem zapalono, piękne spectaculum ognie one uczyniły.

17go. Jeździliśmy do niektórych klasztorów mniszek, gdzieśmy foremny zakon widzieli, a zwłaszcza u świętego Daniela, gdzie do nas do kraty przyszło do pięćdziesiąt tych zakonniczek, jedna od drugiej piękniejsza, ubrane wprawdzie w białem odzieniu, ale bardzo subtelném, włosy utrefione, i na piersiach taki strój, jako u innych białych-głów weneckich. Kazaly dla nas wina dobrego przynieść, i rozmawiały z nami tak bezpiecznie, jako potrzeba. A jest takich kilka klasztorów. Szlachta wenecka wynalazła to pomieszkanie dla córek swych, których dla kosztu za mąż dać nie chcą, albo nie mają o czem, jednak i tam niewczasu żadnego nie cierpią, co znać po cerach ich nadobnych; jedno, że są w zamknięciu i pod strażą.

Przez ten wszystek czas pomieszkania Królewicza JMci w Wenecyi, nie opuścili panowie Wenetowie co do uczczenia i ucieszenia tak wielkiego gościa należało; nie, albo mało co na

sam czas kwadragieżymy nierespektując, festy, tańce, komedye na każdy wieczór się odprawowały, aże téż już na nich kapucyn jeden począł był kazać, ale mu kazali precz z miasta, powiadając, kiedyby nie był tego zakonu, w którym się oni kochają, tedyby był pewnie na galerze, bo to, cokolwiek się jedno działo occasionaliter gwoli Królewiczowi, nie mieli sobie za grzech, albo téż w nadzieję roku świętego i jubileuszu grzeszyli, dosyć na tem, żeśmy się mieli na wszystkim bardzo dobrze.

K R Y T Y K A.

Karpaccy Górale

dramat Józefa Korzeniowskiego we trzech aktach.

(Dokończenie.)

Nie można dość pochwalić tego prostego, mistrzowskiego wprowadzenia widza w samą treść sztuki, które i u wielkich pisarzy jest często wymuszone i naciągnięte. Wszystko tu zamyka się w czynach, nie w opowiadaniach, i z tego względu, ze względu dramatyczności ciągnie ta sztuka główne swoje zalety. Masz tu już pierwszy zarys charakteru. Silny i zręczny Antoś ma już za sobą wczesnie sympaty czytelnika. Zazdrosny i mściwy Prokop; głupi i pijanica mandataryusz i pare osób, jak Praxeda i wuj jej Maxym, których los z losem Antosia się wiąże, oto niemal całkowita grupa, z którą się czytelnik, jakby od niechcenia obeznał i szczerze zajął jej przygodami na przyszłość. Z takowego związku rozwija się, jak z kłębka dalsza osnowa sztuki, stósownie do nakryślonych już rysów.

Po tych zdarzeniach następuje tkliwa scena syna z matką, jedna z tych, jakie Korzeniowski z nieporównanym wdziękiem malować umie.

Po pięciu dniach niebytności, wchodzi Antoś do domu. Wita go uradowana matka. Tak dawno go nie widziała. Pięć godzin niewidzenia, dla niej zawiele. Zmęczony. Pospiesza zdjąć z niego kunie, bo mu cięży. I pistolety i topór odsuwa, bo go gniołą. Przy takich pieszczotach matki syn składa głowę na jej kolana, a po chwili usypia. W myślach, które jej się nasuwają, nieprzemileza macierzyńska duma: Dałam memu dziecku silną rękę i śmiałe serce; wiedzą ludzie, jaka matka go urodziła!... Ale duch zły miesza się w każdą rozkosz

człowieczą. Prokop z siepacami wpada, wiąże Antosia, wsadza na przygotowaną już tratwę i jako rekruta do Kut odstawia.

Na krzyk matki zbiegali się znajomi. Niema rady. Praxeda rozżalona wpada na myśl puścić się w świat za Antosiem, odszukać go i użyć wszelkich sposobów do wrócenia go matce. Surowo nagania zrazu jej dziecinne marzenia rozsądny Maxym, w końcu litując się nad nią, chce być jej przewodnikiem, i puszczają się w drogę.

W drugim akcie góral, jak powiada, cieśla z Bereszowki wypytuje się w karczmie razem z swoją udaną córką o pułk xięcia Lichtensztajna. Kapral opowiadający im to, jest w swojej mowie i manierach żywcem zdjęty oryginał galicyjskiego wojaka. Niebawem widzimy ich nocną porą obok rządowego gmachu pode Lwowem rozmawiających z szyldwachem. Scena ta starannie wykończona. Podróżni zbliżają się z niedowierzaniem. Szyldwach im więcej jest myślami przy rodzinnych swoich górach, tym mniej się domyśla, że się obok niego kto z jego przyjaciół znajduje. Nie chce się wdawać w rozmowę. Kilka słów podrzuconych sprawia, że wkrótce całą duszą lgnie do niej, a scena kończy się tym trafnie pomyslanym i z samego charakteru wypływającym wypadkiem, że Antoś rzuca karabin i mundur, wdziewa podaną mu siermięgę i zmyka z Praxedą i jej wujem do domu. Czyn ten nie mógł być bez pewnego przeczcucia lub ciemnego przewidywania następstw, wykonany. Antoś przewidywał te następstwa jasno i jak najdoskonalej. W tym punkcie różniłbym się nieco z autorem, i myślę, że nie tak jasno przenikający przyszłość, nie tak, poniekąd nadludzki, a samem czuciem się kierujący Antoś, byłby może zgodniejszy z naturą i właściwszym bohaterem dramatu.

Autor przenosi nas teraz do wsi Żabie. Anna, żona Prokopa, z dzieckiem spotyka się u studni z Martą, matką Antosia. Niespokojność Anny o męża, który jest gdzieś w mieście i co chwila spodziewany, powiększa się na widok nieszczęśliwej Marty. Ubóstwo jej i rozpacz przenika z gruntu Annę, a każdy wyrzut razi ją, jak sztyletem. Mężu, mężu, powiada, witając przybywającego, tyś się złego dopuścił. Pocoś się wmieszał do tej sprawy? to dzieło grzeszne, Marta przekleła mnie i dzieci twoje.

Prokop. Puste słowa, żono! Gdyby przekleństwo starej baby mogło się zamienić w proch i kule, powiedziałbym ci: źle, strzeż się. A teraz śmiej się z tego.

Niebawem wchodzi Anna, niosąc jedzenie dla męża, utrudzonego drogą i spotyka we drzwiach — Antosia, Pierwsze jej słowo: Ach! to syn Marty!

Antoś. A ty wdowa!...

AKT TRZECI.

Po zabiciu Prokopa już mu w domu nie siedzieć. Porzuca Praxedę i matkę, a sam puszcza się na opryszka. Po niejakiem tułactwie schwytyany przez oddział wojska wyprasza sobie u kommissarza, aby mógł jeszcze odwiedzić dom. I tu dopiero następuje scena najpatetyczniejsza, która tylko w przedstawieniu wydać się może. Słowa jej nie zastąpią i autor też w nich bardzo oszczędny:

Teatr przedstawia dom Antosia. Na środku w głębi sceny, leży Marta na tapczanie. Wieść o złapaniu syna zabiła ją. W nogach siedzi stara kuma, w głowach palą się dwie świece. Bliżej na lewo, stoi Antoś oparty o ścianę, patrzy spokojnie na trupa matki, przy nim dwóch żołnierzy. Na prawo kommissarz i oficer.

Piękna uwaga, którą ten widok kommissarzowi nasuwa, może być poniekąd wzięta za myśl zarodkową autora, z której w malowaniu tego przedmiotu wychodził:

My ludzie oświeceni przyznajemy sobie tylko głębokie czucie i mocno się mylimy. Jak słoje drzewa zacierają się i nikną pod błyszczącym polem, tak i nasze namiętności. Nasza radość, nasz smutek, mieszają się z sobą i zlewają równie, jak cienie ze światłem na dobrem malowidle. Czemże one są w porównaniu z wybuchami radości i rozpaczy tej natrny prostej i nieokrzeseanej?

Scenę tę przerywa jeszcze jedno zdarzenie. Maxym, który był mimowolnym powodem Antosia ucieczki, a potem razem z nim się tułał, oddaje się sam w ręce sprawiedliwości. Na wieść, że Praxeda, która pomieszaniam zmysłów dostała, wtrącona już na dno Czeremoszu, odzywa się Antoś:

Panie kommissarzu! wszyscy moi już w miejscu bezpiecznym, czas i mnie za nimi!

Zamierzwszy sobie dać jakąkolwiek wiadomość o tym nowym i pięknym tworze Korzeniowskiego, który mi kilka godzin prawdziwej sprawił rozkoszy, wstrzymuję się od dalszych uwag nad charakterami i układem tego dramatu. Byłyby one zawczesne, ile dotyczące przedmiotu, który jest dotąd zupełnie publiczności nieznanym, a któremu rychłego upowszechnienia szczerze życzę. Być może, iż więcej szorstka, więcej rubaszna powłoka cechuje rzeczywiste życie góralskie owego zakątka, któremu pełen talentu autor, jako gość tylko przypatrować zdaje się, jakkolwiek nie bez znacznego podobieństwa je kryśli. Ztemwszystkiem mam ten utwór za jeden z ważniejszych zjawisk w literaturze narodowej i można powinszować tak szczęśliwego zwrotu autorowi „Piękną kobietą i Dwóch oświadczeń.“ Zajmujące kreślenie życia wiejskiego, jak dawniej wyższych towarzystw, poświadcza giętkość i wie-

lostronność talentu tego pisarza, i jest faktyczną odpowiedzią na wszystko, cokolwiekby w dzisiejszych, pełnych umysłowego ruchu i najważniejszych przedsięwzięć, lecz ścisłością sądu nie zbyt odznaczających się czasach, ubliżającego mu słyszeć się dało. Ktokolwiek całą dotychczasową koleją prac jego uważa, dostrzeże zapewne, że ich bodźcem jest wewnętrzne, z jaśniejszego poglądu w piśmiennictwo wydobyte, a tak potrzebne każdemu autorowi przekonanie, które niezważając na chwilowe oklaski lub przygany, ma stale przed oczyma jeden cel wielki: Korzyść ogółu, do której wszystkimi siłami zdąża, i tym większy powemie dla autora szacunek.

Fed' Borejko.

Prelekye Mickiewicza.

(*Ciąg dalszy.*)

Epoka historii moskiewskiej, o której przychodzi tu wspomnieć, scharakteryzowaną znajdujemy w powieści gminnej. Drakuha (Drakouha), bohater tej powieści jest ideałem moskiewskiej grozy. „Owo Drakuha jest to niby wojewoda wołoski (lubo tego nazwiska byli książęta wołoscy, wszakże nasz bohater jest wymyśloną osobą). Ow książę Drakuha potężny, szanowny i sprawiedliwy, radby poprawił swych poddanych i uczynił ich szczęśliwymi i bogatymi, — przebrany więc i pod cudzem nazwiskiem wciska się, nawet do domów; pilnie słucha narzekania, i złe, jak może naprawia. — I tak natrafił na złego sędziego, wnet go każe ze skóry obdrzeć; leniwą kobietę, gdy się mu nadarzy, to jej zaraz oczy każe wylupić i przykuć na wieki w młynie, aby obracała kamień. Jeżeli się mu nawinie brudna niechłujna niewiasta, to ją zaraz do wody na wieki wrzucić każe. Razu jednego ów Drakuha zafrasował się mocno nad tem, że coraz to więcej bieda dokuczała ludziom, jakoż moc było kaleków, nędzarzy i żebraków; cóż tu na to licho zrobić? Nakazał więc ów książę, aby wszyscy ubodzy, biedni, chorzy, stroskani nawet ludzie, zebrali się w jedno miejsce; a kiedy się tak z całego kraju biedacy w jednym zebrali gmachu, kazał książę drzwi zatarasować i gmach zapalić; takim sposobem naraz nie stało w całym kraju ubogich i nieszczęśliwych. — Jakoż w rzeczy samej mówi moskiewska powieść: na co chować ludzi, co ani sobie, ani drugim na nie się przydać nie mogą.“

Tak to w owym czasie lud moskiewski pojmował powinności monarchy, — trafił się mu też podług przytoczonego dopiero ideału, doskonały nostojaszczy monarcha. Następnie professor opowiada dworskie fakty w Moskwie po śmierci Wasyla, rządy matki Iwana, pani z rodu mon-

golskiego, tudzież sposób, jakim Iwan w 15. roku życia swego, pomordował wielu wicherzących na dworze Bojarów, a mianowicie Szujskiego, sam rządzić począł: jak nie długo po tem przybyłych z uzaleniami się posłów nowogrodzkich, własną niemal ręką okropną zamordował śmiercią. Tak się objawił okropny charakter Iwana, który wszakże wejrzawszy w siebie, jeszcze dziesięć lat umiał się na wodzy utrzymać. Zmiana ta w charakterze i postępowaniu młodego księcia zrodziła się tym sposobem. Fakty wicherzących Bojarów przybite na dworze, podburzyły lud, w czasie ogromnego pożaru, który ogarnął był stolicę, mówiący mu, że klęska ta była dziełem czarów, sporządzonych przez książąt Glińskich, znaczenie na dworze posiadających. Bunt ten okropnie przestraszył był Iwana, wtedy zjawił się święty mąż, mnich, nazwiskiem Silwester, który przedarłszy się aż do wielkiego księcia, surowo (jak mówi kronika) upominać go począł i wzbudził w nim tak serdeczny żal, że książę postanowił zupełnie zmienić swe postępowanie. Z mnichem owym zjawił się był młodzieniec, imieniem Adaszew, którego równie historya, jak podania ludu wielbią. Wielki książę przybrał obu do rządu, lubo oba dostojęństw przyjąć nie chcieli, trwało to lat trzynaście. Była to jedyna epoka szczęścia i prawdziwej wielkości dla Moskwy, jej podobna chwila nie ponowiła się więcej w dziejach tego państwa. — Choroba, w którą wpadł był wielki książę przy upłynieniu rzeczonych lat 13. śmierć jego żony, z gruntu zmieniły raz jeszcze usposobienie jego i nową zmianę spowodowały w rządzie.

Lekcja XXXI. Zygmunt August, ostatni król najcnotliwszej, najbogobojniejszej dynastji, pogrzebał niejako królewskość średnich wieków, która w połowie XVI. wieku zajaśniała blaskiem zachodzącego słońca; za dni jego dokonała się wielka rewolucja w Polsce. — Jeden ze współczesnych biografów czyni uwagę, że w roku śmierci Zygmunta zgasała wielka liczba możnych rodzin w Polsce i do dziesiątka książęcych udzielnych domów na Litwie i Mazowszu. Otoczyła króla nowa rada, złożona z spanoszącej szlachty. Sam król niemal stał się szlachcicem — odziedziczył jeszcze dobroć i wspaniałość swych przodków, ale lekki z charakteru, skłaniał się ku nowościom — wychowany za granicą, pierwszy raz mówi obcą mową i garnie do siebie sekretarzy niemieckich, włoskich nowatorów; — miłośnik sztuk pięknych — proteguje artystów. Te same powody, które stanęły były na zawadzie rozwinięciu się nauk i umiejętności w Polsce, te same powody, mówi professor, wielce sprzyjały powodzeniu się sztuk pięknych. Szczególnie zaś wzniosła się wysoko wymowa; wymowa stała się żywiołem, narzędziem rządu — potrzebował jej król, aby odpowiadać senatorom i posłom — otwierała ona też wrota do urzędów i dostojęństw.

Przykłady klasyczne włoskiej i francuskiej literatury wpływały w czasie tym na polskich poetów, którzy swą mowę na ten wzór kształcić zaczęli; tu się zaczyna wiek złoty literatury polskiej. Wszakże wśród tego blasku, który otaczał tron Zygmunta Augusta, objawiły się przerażające symptoma przemagającego już gminowładztwa szlacheckiego, którego szybki postęp dał się uczuć królowi, z okazji jego, bez dolożenia się stanów, zawartego małżeństwa.

(Ciąg dalszy w następujących Numerach.)

Korrespondencya.

Z Wilna. Niemamy prawie nowości w tej chwili; wiele tylko obietnic, a skutków mało. Wszystko przyrzeczone i zapowiedziane, ledwie się ukaże około Nowego-Roku, na kontrakta kijowskie, na których zwykle księgarze występują z nowościami. Nie podobna tej nowozaprowadzonej mody pochwalić, gdyż książce nie godzi się dawać nawet pozorów towaru, zalecającego się świeżością; a spekulowanie takie na termin pewny, opóźnia często wyjście i rozpowszechnienie się dzieł, które, im prędzej by się ukazały, temby było lepiej. Jednakże skoro tak jest i dobrze z tem jest księgarzom, i my na to zgodzić się musimy, czekając cierpliwie Nowego-Roku, a z Nowym Rokiem tej duchownej kolendy. Tymczasem gotują się i przerabiają i cenzurują powoli rękopisma, dorabiają obrazki, satynują odbite arkusze.

Hr. Henryk Rzewuski, o którego dziele donosiliśmy, zdaje się (o Prawidłach Cywilizacji Narodów) przerobił je i dał mu skromniejszy tytuł — „Próbkę Historycznych.” Wyjątki z niego czytane, najlepiej każą wróżyć o całości. Rzecz pomyślana wybornie, wydana stylem poetycznym; charaktery różnych cywilizacji skreślone dziwnie, trafnie i przekonująco. Celem autora było, okazać wyższość cywilizacji na chrześcijańskiej nauce opartych, i zdaje się, że chyba stronniczy, uparty umysł absolutnego skeptyka, nie podda się jego dowodom. Nie mamy prawa wyjawić, kto jest pan Jarośz Bejła, którego Mięszaniny Wołyńskie, widzieliśmy w ręku T. Glücksberga; ale kładniem tego nowego autora, tuż przy hrabi Rzewuskim, nie bez przyczyny. Mięszaniny składają się z oderwanych artykułów, ognisto i śmiało pisanych, w stylu właśnie takim, jakim się brzydzą niektórzy Warszawiacy (kowale pracownicy, potrzebujący cudzego ognia do swojej kuźni) w stylu łatwym, płynącym, natchnionym, wylanym z duszy od razu. Z artykułów, składających to dziełko, najmocniej moż.

uderza wieczór literacki, wyborny obrazek, które strone duchową naszej czytającej publiczności, w całej nagości odkrywa. Wszystkie osoby, wychodzące do tego małego dramatu, są rysowane z natury i tak dalece z natury, że niektóre z nich palcem by pokazać można; gdyby to się godziło. — Hr. Henryk Rzewuski (niewiem dla czego, wmieściłem go tu znowu) jest współpracownikiem Athenaeum, które gorliwie swemi i cudzemi artykułami wspiera. Jemu to pismo winne piękną filozoficzną rozprawę T. Szczeniowskiego, i wiele innych wybornych artykułów. — Hrabia tego roku miał wyjechać za granicę, lecz jak się zdaje, przesiedzi lato w Cudnowie, a zimę następną w Kijowie. — O piśmie jego ważnym i zdawną zapowiedzianem, a którego wszyscy wyglądają. — O stosunkach literatury z historią — znowu ucichło, nie wiemy nawet, czy wyjdzie i bolejem nad tem.

P. K. Swidziński, znany posiadacz najciekawszych bibliograficznych rzadkości i notat w tym przedmiocie zbieranych, bawił temi czasami w Kijowie, umiał i z chwilowego w tych stronach pobytu (stałe mieszka w Polsce) korzystać, nabywając stare księgi i rękopisma wszędzie i zawsze. Ma on tłaczyć jednego z ojców kościoła do zbioru projektowanego przez ks. J. Hołowińskiego.

Przecież i Pielgrzymka ks. Hołowińskiego wyjdzie; tom pierwszy w druku, drugi i trzeci (będzie ich bowiem trzy) w tece autora jeszcze. Będzie to ze wszelkich miar najmocniej interessujące dzieło, w którym i zapał i naukę i uczucie religijne znajdą czytelnicy. Pisane jest w sposobie listów do brata. Wyjątek umieściło Athenaeum. J. Kefaliński trzeci tom Shakspeara wygotuje też zapewne na Rok-Nowy, bodajby tej pracy nie porzucił, pracy, która obznajmiając nas z największym poetą nowszych czasów, wiele wpłynąć może, na ukształcenie naszych domorosłych poetów, potrzebujących, niestety, wiele jeszcze myśleć i kształcić się, i zastanawiać. Pospolicie fałszywie bardzo mniemają nasi młodzi poeci, że dosyć jest uczyć silnie, dosyć mieć trochę wprawy wierszowej, aby tworzyć. Wielki to błąd — poezya potrzebuje zastosowania także, poznania pewnych (nie klasyycznych wprawdzie) naturalnych prawideł budowy, prawideł smaku, wytrawienia historycznego przedmiotu i wielu jeszcze innych warunków. Nim się siędzie i pisać zacząć, potrzeba przygotować pokarm natchnieniu. A pokarm ten daje nauka tylko — gruntowna znajomość przeszłości, charakterów, właściwości, miejscowości i t. p. Wszystko rokuje, że poezya dzisiejsza dąży do narodowości wyłącznej, ale dotąd mało jest utworów, któreby były narodowe. Wiele z nich mają tylko pozłotę, pokost jakiś, imiona znane, coś niecoś gminnych podań, daty i t. p., a

w środku są to zupełnie obce twory, które tylko śmiesznie przestrojono.

(Dalszy ciąg będzie w następującym Numerze.)

NOWINY LITERACKIE.

Poznań. Do najświeższych płodów literackich, godnych większego upowszechnienia, należą wyszłe w tej chwili w Wilnie u Zawadzkiego książki:

- a) Rusałka na rok 1841., wydana przez A. K. Grozę, Wilno 1841. Zawierająca: „Stan Literatury Polskiej w obecnej chwili przez M. Grabowskiego. Uczony krytyk zwykle trafnie oceniający stan literatury naszej, co do X. Poznańskiego, kilkakrotnie się pomylił; jakoż trudny jest sąd o żyjących, zwłaszcza w tak wielkiem oddaleniu. W następujących Numerach Orędownika, powiemy o tem słów kilka. Dalej jest: „Ustęp z Pamiętników staro litewskiego Szlachcica,“ przez Henryka Rzewuskiego, nader zajmujący, jak się spodziewać można, rys z upłynionego życia naszych przodków. Następują dwie powieści: „Szkic Kontraktowy i Pan Grzegorz,“ powiastka ze Szkiców Kontraktowych, jak się zdaje, przez wydawcę A. K. Grozę. Dwa te obrazy wzięte z życia potocznego, umiejętnie skreślone, świeżością farby miłe czynią wrażenie w sposobie i manierze P. Kraszewskiego, do którego, jako do polarnej gwiazdy, pisarze belletrystyczni, tamtejsi swe utwory odnosić zwykli.
- b) Pan Kasztelan, powieść historyczna, z początku XVIII. wieku, przez Michała Jezierskiego. Wilno 1841., w czterech częściach i następujących oddziałach: Wyjazd, Pierwsza rozmowa, Sejm elekcyjny, Spowiedź, Wiwat Konfederacya, Uczta, Oboz pod Pultuskim, Ona go jeszcze kocha, Widziadło, Smutek, Ojciec, Konfederaci Warszawscy, Podróż do Warszawy, Gdzie pieczęć, buława? Klasztor, Potem w lat dziesięć.

W Krakowie wyszły przed kilku tygodniami:

- a) Nieszczęścia najszcześliwszego męża przez A. F.
- b) Rozrywki umysłowe, nowy tomik.

Pierwsza powieść była już dawniej drukowaną, o czem wydawca wcale nas nie ostrzega. Rozrywki zaś są zbieraniną z różnych pism peryod., znanych już powieści, do których, jeżeli wydawca nie nabył prawa od autorów, grzeszy podwójnie, raz, że Publiczność, jakby nowym towarem z wodzi, powtóre, że czyni krzywdę autorom, których własność u nas przez samo sumienie respektowaną być powinna, choćby tylko dla tego samego, że się nigdy ani w setnej części nie wynagradza.